

9. Wacław Szymanowski.

M a t e r j a ł y: Akty rejentalne. — Papiery rodzinne. — „Wspomnienia”, skreślone przez Kazimierza Zalewskiego na zamówienie redakcji. — Roczники *Kurjera*.

I.

W rozwoju naszego dziennikarstwa lata 1858—1861 prawdopodobnie uznane będą kiedyś przez przyszłego historyka prasy za najważniejsze. Zaakcentowały się w tej dacie po raz pierwszy w gazetach naszych pewne stronnictwa, nowe tendencje społeczne, i otworzyło się pole dotąd nieznane dla prawdziwych temperamentów dziennikarskich: *Gazeta Warszawska* miała już sztab redakcyjny gotowy; *Codzienna*, przerodzona w *Polską*, dostała no-

wego kierownika w osobie J. I. Kraszewskiego, którego samo nazwisko wystarczyło do zjednania jej szerokiej popularności.

Wobec rozwoju i postępu tych dwóch gazet *Kurjer Warszawski* nie mógłby się utrzymać w dotychczasowym swoim zakresie. Czytali go mieszkańcy miasta, bo nie innego do czytania nie mieli; ale jasną było rzeczą, że takie pismo byt swój zawdzięczało tylko zupełnemu brakowi konkurencji, temu, że posiadało monopol warszawskiego bruku. Dużo też tu znaczyła osobistość redaktora, jego stosunki z arystokracją, finansistami, zamożniejszymi kupcami, wśród lekarzy i adwokatów, a wreszcie i w kółku artystyczno-literackiem.

Kucza doskonale się do takiej reprezentacji *Kurjera* nadawał. Wyśmiewano wprawdzie, szczególnie w późniejszych czasach, wierszyki Kucza, którymi trząsał jak z rękawa na cześć każdego ze współbiedników, wymawiano mu i ów tak osławiony toast:

A zatem bez *czasu stratu*
Pijmy zdrowie magistratu! —

ale żarty zaczęły się wtedy, kiedy Kucz już swój czas odbył, kiedy schodził z pola, kiedy spostrzeżono, że improwizator, dobry kolega, sympatyczny człowiek i wesoly towarzysz zabawy — to jeszcze nie dziennikarz. Wystarczyło to do czasu, ale potem, gdy się już mniej bawiono, gdy zaczęto trochę więcej myśleć, trochę się uczyć i trochę naprawdę pracować, słówce takich ludzi, jakim był Kucz, zamglilo się i gasło powoli. Nie trzeba ztąd brać podniety, aby obwiniać o coś lub sądzić surowo tego prawdziwie dobrego i niecziwego człowieka. Utrzymywał on w *Kurjerze* tradycje Dmuszewskiego, robił to, co mu zostawił jego poprzednik. I dobrze się z tem działo wydawcom, czytelnicy się nie skarżyli, *Kurjer* szedł ubitym szlakiem po utartym gościńcu, po którym szło też drzemiące społeczeństwo. Sen się skończył, przyszła troska, nastąpiło przebudzenie; ale nie trzeba Kucza winić, jak to robią dziś niektórzy, że do drzemki dopomagał, że do snu kołysał *Kurjerem* i toastami. To nie on wpływ wywierał na miasto, ale społeczność na niego. Pisał tak, jak tego żądali jego czytelnicy-przyjaciele, bo każdy czytelnik *Kurjera* był przyjacielem Kucza. Ale gdy ubył ten przyjaciel, pismo przez niego redagowane straciło przyczynę bytu. Daremnie sukcesorowie Dmuszewskiego, wydawcy *Kurjera*, szukali dla Kucza zastępcy; wątpię nawet, ażeby i sam Kucz, kiedy w roku 1865-ym z dłuższej podróży powrócił, mógł był długo utrzymać pismo przy dawnym jego materjałnem powodzeniu. Że *Kurjer Codzienny* zyskał odrazu 6.000 prenumeratorów, a *Warszawski* ntracił do paruset, to jeszcze rezultat dawnej popularności Kucza. Czy jednak ta popularność byłaby utrzymała *Kurjer War-*

szawski, czy nie byłby on upadał tak samo, tylko powolniej, gdyby siedł dalej za tradycją Dmuszewskiego, przy której tak uparcie trzymać się chcieli jego spadkobiercy, a do której Kucz tak doskonale się nadawał?...

Rzecz prosta, że nowym zadaniom dziennikarstwa nie mogli też sprostać ani Odynieć, ani Stanisław Bogusławski, którzy po ustąpieniu Zygmunta Zaborowskiego przez krótki czas obowiązki redaktorów spełniali. *Kurjer*, jakim był do roku 1866, takim pozostał i w r. 1867, choć tak poważne firmy dwóch rozgłośnych pisarzy u steru swej nawy postawił. Przewaga w walce dziennikarskiej chyliła się ku stronie przeciwników, bo nawet aktrzy ze sztandarem i trąbami teatru w całym komplecie z placu Teatralnego na Czystą do Kucza zbiegli. Mało to obchodziło Odyńca, a i Stanisława Bogusławskiego niebardzo!

Najgorzej zżymał się na upadek *Kurjera* Fr. Sal. Dmochowski, (ur. 14/III 1801—zm. 3/VIII 1871) ostatni klasyk, syn tłumacza „*Iljady*”, autor „*Odpowiedzi na pismo Pana Mickiewicza*”, nadzwyczaj zajmująca postać staruszka. Wysoki, tłusty dobrze siwy, z twarzą zupełnie wygoloną, zawsze w fraku czarnym, czasem granatowym, pod szyję opięty, Dmochowski szczególnie zajmując się przedstawiał w zestawieniu z Odyńcem i starym Bogusławskim. Były to trzy odmienne typy literackie z naszej przeszłości. Nie można ich z sobą porównywać, ale obserwacje nastroczały się same, gdy ci trzej ludzie razem zebrali się w oficynie domu Zabłockiej w dwóch pokojach z lewej strony na parterze, które cały lokal redakcyjny dawnego *Kurjera Warszawskiego* stanowiły.

Odyńiec, maleńki, chudy, wygolony tak samo, jak Dmochowski, w kołnierzykach wysokich, modnych przed trzydziestu laty fatermörderach, z szyją zaciśniętą w szeroką czarną chustkę albo halstuch, przychodził późno do redakcji, a że był ruchliwy jak żywe srebro, więc chwilki spokojnie na miejscu usiedzieć nie mógł. Bogusławski, jeżeli przychodził do redakcji, co mu się zdarzało bardzo rzadko, — bo już wtedy chodził z ciężkością z powodu reumatyzmu w nogach, na kiju wsparty, — zasiadał spokojnie przy biurku, w kącie, z prawej strony pokoju, i pisał najczęściej humorystykę do *Kurjera*. Dmochowski, przy końcu wielkiego stołu, z lewej strony pod oknem, temperował pióro i zabierał się do pisania jakiejś wiadomości o wypadku niemkim, a Odynieć przez ten czas biegał 15 razy do drukarni w drzwi naprzeciwko, to znów zasiadał przy środku stołu, niby do poprawiania manuskryptów.

Ni ztąd, ni zowąd, wyskakiwała pierwsza iskra. Któryś z nich trzech powiedział jakieś zdanie, wyraz jeden, który przypominał jakiś wiersz. To było dostateczne do wywołania wybuchu. Dmochowski był wtedy w stanie recytować parę tysięcy rymów swojego ojca, Osińskiego, Książnika lub

Trembeckiego, na co Odyniec replikował Mickiewiczem, Schillerem albo swojemi poezjami. Bogusławski pokrzykiwał zawzięcie z początku ze swego kąta, ale gdy mu się cierpliwości przebrało, mruczał, a w końcu rzucał jakieś energiczne słowo protestu z zapasów wyrażań, które mu z czasów żołnierki w słowniku pozostały.

Do plastyczności takiej sceny, która przez parę miesięcy redakcji Odyńca dość często się powtarzała, dodać trzeba, że Odyniec mówił cieniutkim głosem, prawie dyszkantem, Dmochowski miał wspaniały organ deklamatorski, wysoki baryton, a Bogusławski — tubalny głos basowy, przy szybkiej i energicznej dykcji.

Dawni ludzie, dawne czasy, dawni poeci; czasem i dawne dzieciaki — starcy! W literaturze mogli błyszczeć, we trzech w tem ugrupowaniu mogli stanowić cenny obraz do poematu, powieści, a nawet komedji, ale do redakcji dziennika, pisma miejskiego, ruchliwego, byli chyba negacją wszystkiego, co w redakcji robić należało.

Nic tu nie pomagały ani wiadomości teatralne Chęcińskiego, ani zagraniczne nowinki Vidala, eleganckiego salonowca, który obracał się głównie w sferach urzędowych i miał tam sposobność dużo z dzienników obcych korzystać. Przeciwnicy tymczasem tryumfowali na całej linii.

Grywano wtedy często w teatrze komedję Antoniego Wieniarskiego, p. t. „Ulicznik warszawski”. Lubiony to był wodewil przez publiczność, bo Panczykowski grał w nim świetnie rolę szewca, a Damse bawił figłami, jakie wyprawiał w tytułowej roli chłopca pana majstra. Ulicznik znajduje pugilares ze znaczną kwotą pieniędzy i zwraca go prawemu właścicielowi, który w nagrodę uczciwości daje mu sporą sumę na założenie warsztatu, czem ułatwia małżeństwo z panną majstrówną. Dobroczyńca ulicznika obiecuje mu jeszcze, że sławę jego czynu w *Kurjerze* szeroko światu rozgłosi. Otóż Damse robił sobie dodatek na scenie, umówiwszy się z aktorem, grającym rolę „nieznajomego”.

— A w którym *Kurjerze* mnie pan ogłosi? — pytał.

— Naturalnie, że w *Codziennym* — odpowiada tamten.

— W *Codziennym*? No, tak to dobrze, bo *Warszawskiego* dzisiaj pies czytać nie chce — mówił wtedy Damse, wyskakując wesolo przed publiczność, która ten niewybredny koncept przyjmowała łecznemi oklaskami, szczególniej paradyzu.

To podobno dopełniło miary zniechęcenia Zabłockiej i Wysiekierskich; i Stanisław Bogusławski również uczul się dotkniętym tak niesmacznym konceptem dawnego kolegi. Łatwo to zrozumieć, gdy się przypomni, że *Kurjer Warszawski* wtedy był blisko związany z teatrem, boć Zabłocka była córką Dmuszewskiego, artysty i dyrektora dramatu, a Bogusławski niedawno

przedtem wziął emeryturę z aktorstwa, nie zrywając jako komedjopisarz przyjaznych z kolegami stosunków. Deficyt w kasie i straty materialne były już dość dotkliwe, a gdy się jeszcze i przykrości moralne dołączyły, postanowiono *Kurjer* oddać w inne ręce, w formie dzierżawy lub zupełnego pozbycia się własności.

Wtedy-to rozpoczęto poszukiwania nabywcy. Nie będziemy tych zabiegów opisywali szczegółowo, zaznamy tylko, że w r. 1867 Zabłocka zavezwała listownie jednego z głównych wtedy współredaktorów *Kurjera*, Juliana Heppena, i zaproponowała mu nabycie pisma lub dzierżawę. Heppen, nie mając odpowiednich środków materialnych, oświadczył, iż propozycji przyjąć nie może, ale postara się o osobę, która by zadosyć uczyniła życzeniu właścicielki pisma. Jakoż niebawem udał się do Wacława Szymanowskiego, z którym łączyły go długoletnie stosunki przyjacielskie, i po naradzie obaj postanowili wyszukać wydawcę, na warunkach bliżej określić się mających. Poszukiwania te wszakże chybiły.

Zwrócono się wówczas do dobrego znajomego rodziny, Aleksandra Michaux, młodego poety, już znanego pod pseudonimem Mirona, zamożnego z siebie i z żony, która była wdową po Höhrze, kupcu, utrzymującym handel win i restaurację w teatrze. Miron jednak nie posiadał jeszcze ani firmy literackiej tak ustalonej, ani dostatecznego doświadczenia dziennikarskiego, aby rzucać się w ryzykowne przedsięwzięcie, jakim było ratowanie tonącego pisma. Czuł dobrze, że sam nie podola, i postanowił też, na drugi plan się usuwając, złożyć losy *Kurjera* w silniejsze i pewniejsze ręce. I on też zwrócił się wkrótce do Wacława Szymanowskiego, a zjednawszy go sobie, rozpoczął rokowania z Zabłocką, z początku o całkowite nabycie *Kurjera Warszawskiego* i drukarni na własność. Gdy Szymanowski zdecydował się objąć redakcję, cała sprawa przybrała charakter poważniejszy w oczach właścicielki pisma, ale zagmatwała się we wzajemnym stosunku dwóch przyszłych wydawców, którzy, jak zwykle literaci, a w dodatku poeci, praktyczności w interesach nie mieli żadnej. A nuż będą straty na *Kurjerze*, które pochłoną skromne zasoby Szymanowskiego, równie jak względną zamożność Mirona?... Szymanowski piórem tylko na utrzymanie rodziny zarabiał. Poświęcając cały swój czas redakcji *Kurjera*, musiałby się wyrzec, przy zdwojonej pracy, wszelkiego udziału w innych wydawnictwach. Była to rzecz poważna, nad którą wypadło się zastanowić. Po walnej naradzie starszego z młodszym poetą zapadło postanowienie przedyskutowania strony finansowej przedsięwzięcia z firmą księgarską Gebethnera i Wolffa, która już wówczas zajmowała wybitniejsze stanowisko na rynku handlowo-wydawniczym. Gustaw Gebethner i Robert Wolff, dwaj spółnicy firmy, dobrze pojmując, że pismo codzienne dla księgarni nakładowej jest zawsze

korzystnym interesem, objawili odrazu wielkie do całego przedsięwzięcia zaufanie, o ileby Wacław Szymanowski na jego czele stanął.

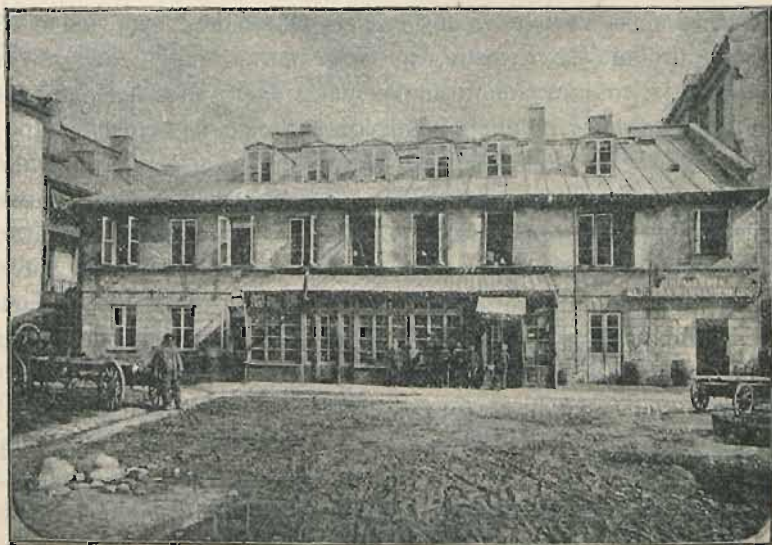
Teraz znowu znalazły się trudności ze strony literatów. Aby nabyć *Kurjera* na własność, zawiązać spółkę w tym celu, trzeba by ryzykować jakiś kapitał, z którego zyski dzieliłyby się w odpowiednim stosunku do wkładów. Tu firma handlowa miałaby przewagę nad Szymanowskim i Mironem, bo mogła zawsze znacznym, jeśli nie własnym kapitałem, to kredytem, rozporządzać. A jakże ocenić na pieniądze popularność Szymanowskiego lub wyrzeczenie się współprawnictwa w innych pismach przyszłego redaktora *Kurjera*? Stało więc na tem, że na poczekaniu zawiązana spółka w osobach: Szymanowskiego, Aleksandra Miehaux, Gustawa Gebethnera i Roberta Wolffa nie kupi od Zabłockiej *Kurjera Warszawskiego* wraz z drukarnią, ale wydzierżawi na lat 10 prawo do prowadzenia pisma i użytkowania z zakładu typograficznego.

Akt dzierżawy, zawarty d. 13 lutego 1868 r., w kancelarji Włodzimierza Kretkowskiego rejenta, zeznany jest między Zabłocką i Stanisławem Bogusławskim z jednej strony, a z drugiej stają do niego tylko: Gustaw Gebethner i Robert Wolff. Jaki był układ tych dwóch nominalnych dzierżawców z Szymanowskim i Mironem — wiedzieć trudno, bo nastąpił on w drodze umowy prywatnej i trwał, równie jak akt dzierżawy, wszystkiego przez cztery lata. Dzierżawcy zobowiązali się płacić czynsz roczny w wysokości rs. 600, w ratach miesięcznych po rs. 50, który Zabłocka przekazywała w całości Stanisławowi Bogusławskiemu, a na wypadek jego śmierci — Katarzynie z Frejlichów Bogusławskiej, jego żonie. Ponieważ te 600 rs. reprezentowały równie prawa wydawnicze, jak i użytkowanie z drukarni, już sama skromność tej sumy dowodzi, jak właścicielka mało na *Kurjer* liczyła i jak była do prowadzenia pisma na własny rachunek zrażona. Tym samym aktem Zabłocka wynajmowała jeszcze i mieszkanie *Kurjerowi Warszawskiemu*, owe cztery, w swoim czasie tak popularne, pokoiki na parterze w oficynie, której podobiznę podajemy. I tych pokojów cena względnie nisko ustanowioną była, bo wszystkiego 300 rs. rocznie, i to z przyjęciem warunku przedłużenia najmu lokalu po tej samej cenie, równocześnie z trwaniem dzierżawy pisma.

Ostatecznie losy wydawnictwa *Kurjera Warszawskiego* ustalił dopiero formalny akt kupna i sprzedaży przed Janem Masłowskim rejentem, w dniu 27 czerwca 1872 r. zeznany. Zabłocka już wtedy umarła, a jej sukcesorka, Natalja z Sauvan'ów Wysiekińska, sprzedawała wszystkie prawa swoje do *Kurjera* Wacławowi Szymanowskiemu oraz Gebethnerowi i Wolffowi wraz z drukarnią za sumę ogólną rs. 10,000, płatną w dwóch ratach: 6,000 rs. przy sporządzeniu aktu, a 4,000 rs. w cztery lata od tej daty, t. j. w r. 1876.

Nadto, małżonkowie Wysiekiersey zastrzegli sobie rentę dożywotnią 600 rs. rocznie do r. 1878, od tegoż zaś roku aż do końca ich życia, do 900 rs. podwyższoną. Stanisław Bogusławski już wtedy nie żył, a że wdowa po nim miała pobierać 600 rs. renty rocznej z dzierżawy *Kurjera*, który przekazała jej Zabłocka, więc tę sumę i w dalszym ciągu obowiązali się płacić i nowi właściciele, uznając nadto $\frac{1}{12}$ część wydawnictwa *Kurjera Warszawskiego* za własność rodziny Bogusławskich.

Spółka zatem własności *Kurjera Warszawskiego* tak się przedstawiała pięciu i pół dwunastych właścicielem został Wacław Szymanowski, naczelny redaktor pisma; drugie 5 i pół dzielili między siebie na dwie połowy:



Oficina.

Gustaw Gebethner i Robert Wolff, a $\frac{1}{12}$ -ą wydawnictwa, ale bez drukarni, otrzymała rodzina Bogusławskich.

Ponieważ całkowity szacunek *Kurjera* zapłacono z czystych zysków, jakie przyniosło wydawnictwo, więc rezultat wykazał, że piśmu w owém 6-cioleciu przejściowem (1863—1868) brakowało tylko talentu kierowniczego i sił do nowych zadań dziennikarstwa usposobionych.

Ale też trzeba było trafić tak szczęśliwie, naprzód na Wacława Szymanowskiego, a potem na redakcję, składającą się z ludzi młodych, energicznych, rwących się do pióra, ludzi, w których kielkowały talenty literackie

i dziennikarskie, rozwinięte później z wielką korzyścią, nie tylko dla *Kurjera*, ale i dla całego naszego dziennikarstwa i literatury.

Z początku *Kurjer* dawał wynagrodzenia wprost deryzoryjne. Pół kopiejki, kopiejkę płacono od wiersza druku, a gdy do 3-ech groszy za wiersz honorarium w r. 1874 podniesiono, był to już taki wyskok hojności wydawców, że go się uroczystymi libacjami na bibce, wyprawianej dla kolegów, oblewało.

Nie honorarium zatem, nie zarobek pociągał ludzi młodych i wykształconych do *Kurjera*, nie pieniądze wiązały ich z pismem, którego trzymali się, jak żołnierz swojej chorągwi. Na dziwne przywiązanie współpracowników do *Kurjera* składało się wiele przyczyn, ale między niemi jedną z głównych była osobistość redaktora i stosunek jego do towarzyszków pracy: chociaż spory zacięte wrzały czasem w redakcji, wywołane różnicą poglądów na drobniejsze kwestje, to Szymanowski umiał zawsze wywołać wzajemne ustępstwo i zwaśnionych pogodzić. Ztąd żaden dysonans nie wybiegł nigdy po za mury redakcji. Gdy zdarzyło się, że wydrukowano jakiś artykuł nawet wbrew zdaniu mniejszości, ta mniejszość przyjmowała solidarność na siebie, broniła nawet błędów, nieświadomości autora, nawet pomylek zecera lub korektora. Kiedy się nawarzyło piwa, pili je wszyscy, i nikt się nie cofnął, choćby trunek był gorzki i źle przyrządzony. Były to jednak wypadki wyjątkowe owych sporów i różnic w poglądach, bo w *Kurjerze* grupowało się kółko ludzi jednakowych przekonań i wierzeń. Szukali oni szerokiej areny, trybuny rozgłosnej, z którejby to, co było według nich dobrem, uczciwem i dla kraju pożytecznem, wypowiadać mogli. Znajdowali takie pole w *Kurjerze* i pracowali na niem, nie pytając o zapłatę, związani z pismem miarą własnego nakładu pracy i zdolności, ceniąc i kochając gospodarza tej gleby, który zdania swojego nie narzucał nigdy nikomu, a dawał zawsze starszym koleżeńską życzliwość, młodszym pieczołowitość staranną, radę i poparcie w chwiejnych nieraz początkach pracy.

II.

„Przy pomocy Bożej rozpoczynamy mozolną pracę dziennikarską”...

Tak się zaczyna odezwa, opatrzona wprawdzie nagłówkiem „od redakcji, ale właściwie będąca tylko orędziem do czytelników osobistem Wacława Szymanowskiego, który też jako redaktor główny na niem się podpisuje.

Pomieszczona w N-rze 21, z d. 28 stycznia 1868 r., brzmi ona dosłownie, jak następuje: